

OLOV VON DALIN

(1708—1763)

KIEDY JUŻ WSZYSTKO UTONIE W CISZY...

Kiedy już wszystko utonie w ciszy,
Dążę, gdzie strumyk srebrny się żłobi,
Rozmawiam z sobą — nikt mnie nie słyszy
Ani użytku z mych słów nie robi.
Promienie rzuca w krąg księżyc blade,
Modrzą się wzgórza, pola, rozłogi,
Mnie w woni lasów wiodą dróg ślady
Nie tam, gdzie dworskie wspaniałe progi.

Zdała od zgiełku, od ułud świata,
Który w swem wnętrzu nienawiść chowa,
Błądzą, gdzie ludzka złość nie dolata,
Gdzie szum drzew szeptem przyjaźni słowa.
Więc moją radość cóż może psować
I co zatruwać jeszcze me serce?
Ach! jedno tylko. Wciąż tak wędrować
Chciałbym ja przy niej, przy mej pasterce!

—
Tłum. Wł. Trąmpczyński.

CARL MIKAEL BELLMAN

(1740—1795)

PORTUG... HISZPANJA...

Portug... Hiszpanja,
Wielka Brytanja —
Hej, w blasku koron zanika mi, ot,
Pamięć z kretesem!
Cudną pryncesę
Trzymam w objęciach — ach, co tu psot!
Teraz z pieszczoszką
Zdrzemnę się troszkę —
Kpię z wierzycieli natrętnych rot!
Rakiety, bomby,
Bębny i trąby
Z hukiem i trzaskiem niech zbudzą nas,
Nasi trabanci —
Ci tu i tamci —
Dzbanem z kryształu uderzą już wczas —
Wtedy wypiję,
Wiem, zdrowie czyje!
Brzęk nie ustanie, choć dzień będzie gasł!

Ostrygi, wino
Całą lawiną
Chłonać pragniemy przelykiem swym!
Pudding obfity
I smakowity
W uczcie porannej ma trzymać prym.
Najdroższe knastry —
Setne pijastry
W jednej ja chwili zamienię w dym!
Skol, stany walne
I generalne,
Sam Ojczy święty, do uczyty siądź! — —
Prysty karesy,
Niema pryncesy,
A i korony pierzchły gdzie bądź.
Cicho jest wreszcie —
Ach, na przedmieście
Pójdę, gdzieś kotlet na kredę wziąć.

—
Tłum. Alfred Tom.

ESAIAS TEGNER

(1782—1846)

Z «FRYTJOFA»

Zakon Wikingów

Płynie — płynie przez morze,
 Buja w pustym przestworze,
 Jako sokół zgłodzony;
 Dla karności i ładu
 Te ogłasza z pokładu
 Swym Wikingom zakony:

«Precz w okręcie z namiotem,
 Nie spać w domu pokotem;
 Wróg się kryje za drzwiami.
 Wiking sypia na tarczy,
 Miecz za druha mu starczy,
 Namiot — niebo z gwiazdami.

«Krótkie drzewce topora,
 Którym grzmoci dłoń Tora,
 Miecz też Freja łokciowy;
 Taki oręż nie zwodzi,
 Niechno zbliska ugodzi,
 A wróg legnie gotowy.

«Gdy zahuczą głębiny,
 Silnie z masztem wiąż liny,
 Burtuj okręt warkoczem;
 Tchórze żagle zwijają,
 Mężni z burzą igrają,
 Ginąc z sercem ochoczem.

«Chroń dziewice na łądzie,
 Lecz precz z niemi na prądzie,
 Bo i Freja cię zdradzi;
 Każda kłamie wdziękami,
 Włosów jasnych splotami
 Siłła na cię zasadzi.

«I Falfader przy winie
 Rad, gdy szumi w czuprynie,
 Lecz pijaństwa daleki;
 Kto na łądzie upadnie,
 Łatwo wstanie, lecz na dnie
 Rany zaśnie na wieki.

«Prowadź okręt kramarzy,
 Gdy się w drodze nadarzy,
 Lecz cło ściagnij za pieczę;
 Tyś król ponad fałami,
 Oni zysków sługami:
 Słabsze złoto, niż miecze.

«Niechaj kości rzucone
 Dzielą zyski zgrabione,
 Przyjmij, co ci los daje;
 Sam król morza z druhami
 Ma nie rzucać kośćcami,
 On na sławie przestaje.

«Gdy cię okręt bojanów
 Natrze w grzbietach bałwanów,
 Bij się mężnie do zgonu;
 Gdy tarcz w trwodze porzucisz,
 Już się do nas nie wrócisz —
 Takie prawo zakonu!

«Na zwycięstwie przestawaj,
 Dla proszących mir dawaj,
 Bezorężni — nie wrogii;
 Prośba dzieckiem jest nieba,
 Toż jej słuchać potrzeba —
 Tylko podły jest srogii.

«Wian to piękny Wikinga,
 Gdy poorze go klinga,
 Byle w piersi lub skronie; —
 Póki doba nie minie,
 Niech dowoli krew płynie,
 A okrzykiem cię w gronie».

Tłum. Józef Grajner.

GWIAZDY

Na pustyni mej drogi gwiazd liczne orszaki
 Srebrzystym swym uśmiechem witają me oczy;
 Czemuż ja nie mam skrzydeł, jako lotne ptaki,
 Żeby swobodnie wznieść się aż w ten świat uroczy!
 Na obłoku złocistym, co przepływa w cieniu,
 Anioł mi się ukazał: trzyma arfę w dłoni,
 Nachyla się, już splywa do ziemskich przestrzeni;
 Boskie jego spojrzenie, a święty blask skroni.

Ujął arfę i śpiewa, i w jej struny trąca.
 Szmer wiatru pienia jego cudnie rozprzestrzenia;
 Ach! teraz cię poznaję, pieśni czarująca,
 Nieraz słyszałem ciebie w krainie marzenia.
 Pamiętam, kiedyś tego widziałem anioła,
 I z gwiazd tych bracia jego do mnie się ozwali,
 A dzisiaj jam samotny, tęsknota dokoła
 Ściga mię w tłumie ludzi i od niego wdali.
 A te anielskie śpiewy, te stropy gwiazdziste
 Obudzają w mej duszy przeszłości pamiętki.
 Ach, w te kraje harmonji i w te sfery czyste
 Pozwólcie mi, anieli, unieść ducha szeptki!

Tłum. Stanisław Budziński.

RZECZY WIECZNE

Dość czyni na świecie zbryzgany krwią miecz,
 Jak orły lśnią skry jego w chwale,
 Lecz nieraz się łamie i cofa się wstecz,
 I orły padają w mórz fale.
 Nietrwale jest wszystko, co przemoc uczyni,
 Umiera wśród burzy, usycha w pustyni.
 Lecz mądrość jest wieczna. Przez ogień i krew
 Promiennem jaśnieje swem czołem —
 I światu wskazuje wśród mroku i plew,
 Jak iść za słonecznym aniołem.
 Lecz mądrość jest wieczna. Na niebie i ziemi
 Jej słowo wśród ludów brzmi dźwięki bożemi.
 Lecz prawda jest wieczna. Liljowy jej kwiat,
 Zdeptany, odrasta na nowo.
 I wciąż triumfalniej zdobywa ten świat,
 Jak słońce — lśni wieczne jej słowo.
 Gdy przemoc i podstęp chcą zgasić jej świty,
 Jej głos w twojej piersi spoczywa ukryty.
 A wola, zamknięta wśród żaru i mąk,
 Do czynu pobudza człowieka —
 Bo myśli ust trzeba, a prawdzie trza rąk,
 A słowa oddawna lud czeka.
 Ofiary i klęski, nim dojdiesz do mety,
 Zabłyszczą jak gwiazda, wschodząca z wód Lety.
 A pieśni moc nie jest jak kwiatów woń mdła,
 Jak tęcza barwista w obłoku.
 Bo w pieśni przeszłości czarowny świat drga,
 Naddziadów twarz błyszczy w jej oku.
 Poezja jest wieczna. A w złotym jej piasku
 Niejeden tkwi dla nas wzór chwały i blasku.
 Ta moc u Mądrości i Prawdy tkwi wrót,
 A dobro i piękno wytwarza —
 I wiecznie, dopóki człowieczy trwa ród,
 Ideal nam w sercu rozżarza.
 Co losy ci dają — jak mara przeminie;
 Co bije w twem sercu — to nigdy nie zginie.

Tłum. Antoni Lange.

JOHAN LUDVIG RUNEBERG

(1804—1877)

SPOTKANIE

Siedzi dziewczę w wieczór letni
 I w krynicy patrzy lustro:
 «Boże drogi, jakżem ładna!
 Ale co mi po piękności,
 Gdy młodzieniec ukochany
 Widzieć nie chce mnie ni słyszeć?
 Różo, co tu kwitniesz obok,
 Zabierz czerwień moich warg!
 Purpurowy hen obłoku,
 Mych policzków weź purpurę!
 Gwiazdo, co tam migasz blade,
 Zabierz jasność moich oczul
 Wszystko inne — twoje, grobie!
 Lecz swawolny to podsłuchał

Chłopiec, tuż ukryty w krzaku,
 I pośpieszył do niej wskok,
 Upragniony, znaleziony.
 Pocałował-ci ją w usta:
 «Czerwień warg zabrała róża!»
 I przycisnął twarz do twarzy:
 «Lic purpurę zabrał obłok!»
 Potem spojrział w głąb jej oczu:
 «Jasność oczu wzięła gwiazda!»
 I opasał ją ramieniem:
 «Wszystko inne w grób zapadło —
 Bo tu grób twój, ma dziewczyno,
 Skąd już nigdy wyjść nie zdołasz».

DZIEWCZĘ NAD POTOKIEM

Dziewczę nad potokiem raz
 Siadło — stopy nurza w nim;
 I zaśpiewa w górze ptak:
 «Dziewczę, nie macę wody tej,
 Co odbijać niebo ma!»
 A dziewczyna wzniesie wzrok,
 Mówi, z okiem pełnem łez:
 «Nie troszcz się o potok ten,

Co się wnet rozjaśni znów!
 Kiedyś tego widział, co
 Ongi przy mym boku stał —
 Gdybyś to ty wtedy rzekł:
 Nie macę duszy dziewczęcej! —
 Już się nie rozjaśni znów,
 Nie odbije nieba już».

MŁODZIENIEC

Wietrze, co targasz mi włosy,
 Dokąd to gnają cię losy?
 Latasz po szlakach tak wielu —
 Kiedy już będziesz u celu?

Falo, tak żwawa w swym trudzie!
 Gdybym się porwać dał złudzie,
 Gdybym pochwycił za wiosła —
 Dokądbyś też mnie zaniosta?

Myśli łańcuchu ty długi,
 Gdzie twojej postój żeglugi?
 Wędrowcy z innego świata,
 Ciagleż wam cel tak odlata?

Tłum. Alfred Tom.

AUGUST STRINDBERG

(1849—1912)

Z «OJCA»

*(Rotmistrz — w kaftanie bezpieczeństwa, włożonym nań przez starą jego mamkę Malgo-
 rzatę, pod wpływem żony Laury.)*

Rotmistrz: Omfalo! Omfalo! Posadziwszy Herkulesa przy kolowrotku, bawisz się teraz jego maczugą.

Laura (*przystępuje do niego*): Adolfe, spójrz mi w oczy, czy widzisz we mnie wroga?

Rotmistrz: Tak jest. W was wszystkich widzę swych wrogów! Matka moja, z niechęcią na świat mnie wydając, była moim wrogiem, że cierpiała przeze mnie

i, pozbawiwszy mnie najpierwszych uciech życia, zrobiła ze mnie napół kalekę. Siostra moja była mi wrogiem, gdy mnie ugiąć chciała przed sobą. Pierwsza kobieta, którą obdarzyłem uściskiem, była moim wrogiem, bo za uścisk miłosny zatrula mi dziesięć lat życia chorobą. Ty wreszcie, żona moja, śmiertelnym byłaś mi wrogiem, bo nie pierwszej spoczęłaś, aż padłem ugodzony śmiertelnie.

Laura: Nigdy nie miałam podobnej myśli ani podobnego zamiaru. Być może, że czułam bezwiedną chęć, konieczność usunięcia ciebie z mojej drogi, na której mi stanęła zaporą, ale wierzaj mi, jeśli w tem był pewien system — nie ja go stworzyłam. Nie sprowadzałam wypadków, nasuwały mi się one same, wyrastały na gruncie przez ciebie przygotowanym, i czysta się czuję przed Bogiem i własnym sumieniem! Byłeś kamieniem dla mnie, głazem, który mi pierś uciskał i oddech tamował — pragnienie tchu, potrzeba życia zmusiła mnie do zrzucenia z siebie tego ciężaru. Tak też się stało — a jeżeli mimowoli w czem ci dokuczylam, błagam cię o przebaczenie!

Rotmistrz: Tak, brzmi to dość prawdopodobnie — ale cóż mi to pomóc zdola? Czyjaż więc w tem wina? Czy «związku dusz?» Dawniej łączono się z kobietą, pojmując ją za żonę, dziś zawiera się z nią spółkę przemysłową albo żyje jako z «przyjaciółką». W pierwszym wypadku oszukuje ona swego współnika, w drugim zniesławia przyjaciela. Miłość prawdziwa, jędrna, zmysłowa miłość znikła na zawsze. I co za latorośle tej miłości akcyjnej, opiewającej na imię właściciela, bez solidarnego zobowiązania! Gdzie właściciela szukać, gdy rozprzęga się spółka? Kto ma być cieleśnym rodzicem duchowego potomka?

Laura: Wątpliwości twoje, o ile dziecka dotyczą, nie mają żadnej podstawy.

Rotmistrz: To właśnie najgorsze! Gdybyż przynajmniej były uzasadnione, wówczas miałyby się przynajmniej coś pewnego, czego by się trzymać można. Tymczasem są to widziadła, cienie, przemykające się w leśnej gęstwinie, których uchwycić niepodobna, choć zda się, że w twarz ci śmiechem parskną. Rzeczywistość, choć jeszcze tak smutna, musiałaby wywołać opór, podniecić, pobudzić do czynnego działania, a tak — myśl rozwiewa się jak dym, a mózg wysila się na różne mary. Dajcie mi co pod głowę! Okryjcie mnie, drzę z chłodu.

(Laura zdejmuje z siebie szal i okrywa go. Małgorzata przynosi poduszkę.)

Laura: Podaj mi rękę, przyjacielu!

Rotmistrz: Rękę — którą mi kazałaś skrępować na grzbiecie. Omfalo! Omfalo! Miękki szal twój twarz mą łaskocze; ciepły on i gładki, i miękki, jak twoje ramię, wonny, jak niegdyś twoje włosy! Lauro, czy pamiętasz te czasy, kiedy młodzi błądziliśmy po lesie, zasianym liljowemi dzwoneczkami i pełnym drożdów? Jakże cudnie, jak pięknie zapowiadało się to życie, a co się z niego zrobiło!... Tyś tej zmiany sobie nie życzyła i ja jej nie pragnąłem, a jednak przyszła. Któż więc rządzi naszym życiem?

Laura: Jeden Bóg!

Rotmistrz: Więc chyba bóg, a raczej bogini niezgody! — Zdejm ze mnie to włosie.

(Małgorzata podaje poduszkę i zdejmuje szal.)

Rotmistrz: Podaj mi mundur, przykryj mnie nim.

(Małgorzata zdejmuje mundur z wieszadła i okrywa go nim.)

Rotmistrz: Lwia moja szata, której mnie pozbawić chciałaś — Omfalo! Omfalo! Chytra zwolenniczko pokoju, któraś wymyśliła rozbrojenie! Herkulesie, zbudź się, zanim utracisz buławę! I ty chciałaś zabrać mi zbroję i wmówić we mnie, że to strój tylko. Dawniej kuto go ze stali, dziś szyją krawcy. Omfalo! Omfalo! Dzika moc uległa podstępnej niemocy. Tfy! Przekleństwo na twoją głowę, szatański rodzie! *(Podnosi się, ażeby splunąć, opada jednak napowrót na kanapę.)* Twarde i zimne dałaś mi wezglowie, Małgorzato! Pójdź, usiądź tu przy mnie! Daj mi na łonie twojem złożyć skroń znękaną. Tak! — Jakże miękko i ciepło tak spoczywać! Pochyl się nade mną, niech czuję dotknięcie piersi twojej; rozkosznie i słodko jest spoczywać na łonie kobiety, matki czy kochanki, ale przedewszystkiem matki!

Laura: Czy nie chciałbyś widzieć swego dziecka, Adolfe?

Rotmistrz: Mojego dziecka? Mąż przecież dziecka mieć nie może, tylko kobiecie dane jest posiadać je, a w niem przyszłość i życie, gdy nasz byt ze śmiercią skończyć się musi. Boże, któryś umiłował działki...

Małgorzata: Słuchajcie, modli się do Boga.

Rotmistrz: Nie, modłę się do ciebie, ażebyś mnie utuliła do snu, gdyż znudzony jestem i z sił opadły. Dobranoc. Małgorzato, błogosławiona jesteś między niewiastami! (*Zrywa się i pada z okrzykiem na łono Małgorzaty.*)

Tłum. Ignacy Suesser.

Z «MINJATUR HISTORYCZNYCH»

Siedem lat urodzajnych (wyjątek)

...Upłynęło nowych lat wiele, a prastary Voltaire wciąż jeszcze przebywał w Ferney, które przemianował na Sans-Souci i którego był królem. Równie czynny jak dawniej, pozostał też równie próżny i zachował równie niespokojnego ducha.

Jego mały zameczek był skromną dwupiętrową budowlą, poprzedzoną przez podwórze, zdobne w okrągły kwietnik i wysadzone drzewami. Na lewo od wejścia znajdowała się niewielka kaplica z kamienia. Tablica, umieszczona nad jej drzwiami, nosiła napis: «Deo erexit Voltaire»; ściągnął on na niego szyderstwo przyjaciół literackich i nienawisć osób duchownych. Na dole w ogrodzie urządził filozof szpaler altanowy z krzewów grabiny, prowadzący do takiejże sali, w której wycięto okna, spoglądające na jezioro. Widział stamtąd Mont-Blanc, który ukazywał się w całym swym przepychu w godzinach zachodu słońca, i siny kobierzec wodny, rozścielający się daleko ku Clarens i dolinie Rodanu, gdzie nieszczęsny Rousseau tyle błędził, kochał i cierpiał.

Dzień zbliżał się ku schyłkowi; zasiadłszy w altanie, starzec grał w bezika z miejscowym proboszczem, gdy wręczono mu nadeszłe z poczty listy. Było ich wiele, lśniących okazałymi pieczęciami.

— Czy pozwolisz mi, opacie, zabrać się do odczytania mej korespondencji?

— Proszę uprzejmie — odrzekł duchowny i wstał z miejsca, rozpoczynając przechadzkę wzdłuż szpaleru. Trwała niedługo, po chwili już bowiem rozległ się głos Voltaire'a:

— Opacie, zbliż się z łaski swojej; musisz posłuchać, co ci przeczytałem. Opat utrzymywał stosunki z filozofem ze względu na swą gminę i stosował się do jego fantazji i zachcianek; nie ustępował mu jednak, gdy dyskusja wkraczała na grunt wiary. Teraz zwrócił się ku niemu na wołanie.

— Musisz wysłuchać listu od Fryderyka Wielkiego, człowieka jedyne, niezrównanego. Wybaczył mi; przejmuję mię to wstydem! Ostatniego wieczoru w Sans-Souci postąpiłem pod wpływem silnego rozdrażnienia okrutnie, nisko nawet, i przypomniałem mu o — kiju ojcowskim. Zaledwie jednak wybiegło mi z ust to słowo, poczułem wnet, jaka będzie jego odpowiedź. Lecz Fryderyk umiał zamilczeć. A przecież mógł był odeprzeć mój cios — kijem również, który odegrał w mej młodości tak znamienne rolę. Zachował milczenie ze względu może na mój wiek, a może też z innych powodów. (Rzecz szczególna, że kij wywarł pewien wpływ na drogi rozwojowe wielkiego Szekspira i innych wielkich ludzi.) Wybacz mi, opacie, moją garrulitas senilis — on mi przebaczył i oto co pisze:

«Drogi przyjacielu! Mijają lata; po siedmiu urodzajnych, które dzieliłeś ze mną, przyszło siedem jałowych, a z niemi siedmioletnia wojna i wszystkie jej następstwa. Przyjaciele odbiegli mnie, wielka samotność poczyna mnie ogarniać u progu starości; wraz z nią dawny krótkowidz zamienia się stopniowo w dalekowidza. Życie przedstawia mu się w perspektywie, w której najkrótsze napozór linje są najdłuższe. Wie to z doświadczenia i nie ulega żadnym złudzeniom. Z wysokości, na której stanął, spogląda chętnie na drogę przebytą, lecz może już sięgać z niej również w przyszłość.

Co czeka nas obecnie? Trudno przewidzieć. Stulecie nasze, które oglądało wszystkich monarchów na czele rewolucji, jest najciekawsze ze wszystkich. My despoti, na-

rzucający narodom oświatę i swobody obywatelskie, byliśmy istnymi demagogami, którym narody te odplaciły niewdzięcznością. Wszystko działo się naopak zwykłemu łaadowi rzeczy! Ja ucierpiałem za swe czyny i nauki, lecz losy Józefa II-go są wprost tragiczne. Jego wiernopoddani zamordują go wkońcu wolno, ale skutecznie.

Nie lubiłeś wojny; ja również, zmusiła mnie jednak do niej wola Opatrzności i troska o dobro mego państwa. Spytasz, co z niej osiągnąłem? Oto dokonałem zestawienia gruntów, jak powiedziałby jakiś mierniczy, i ze wszystkich rozpiezchłych szmatów ziemi zbudowałem jedne Prusy. Możemy stąpać obecnie po własnej glebie, nie wkraczając w pola sąsiada. Nie potrzebujecie lękać się nas; obawy powinna budzić w was jedynie Rosja, której car Piotr uzyskał głos i miejsce w syndykacie mocarstw. Ganileś mój udział w rozbiorze Polski, zmuszony jednak byłem przystąpić do niego. W przeciwnym razie Rosja zagarnęłaby wszystko. Działalem pod naporem konieczności. Polska utraciła swe znaczenie w geograficznej ekonomji Europy; była zruszczona, a jej rolę przejął sarmata... Śląsk był nasz, dziękujcie więc Bogu, że nie otrzymał go Szwed, jak tego żądał, przy zawieraniu pokoju westfalskiego. Zresztą, udało nam się odesłać Gotów zpowrotem do ich własnych kątów: chodzimy sami koło swych interesów...»

— No i dalej w tym sensie! A teraz posłuchaj o Rousseau:

«Nazywaś Rousseau'a szalbierzem! Sąd to nazbyt ostry. Jeśli nawet Rousseau przywłaszczył sobie kawałek wstążki i srebrną łyżkę, to nie warto zgola mówić o tem... Podzielał w zupełności jego umiłowanie natury i nienawiść dla rodu ludzkiego. Któregoś wieczora, patrząc na zachód słońca, mówiłem sobie w duszy: Boże, jak piękna jest twa przyroda i jak brzydki twój ludzie! — Miałem na myśli nas, wszystkich ludzi, nie wyłączam bowiem bynajmniej siebie ani ciebie również!... Wszak ta przekłeta rasa (cette race maudite) jest wprost z wieku żelaza, jak odmalował go Hezjod! I takie człowieczeństwo ma być stworzone na obraz Boga! Na podobieństwo djabła raczej!... Rousseau ma rację, wierząc w okres Saturna...»

— Ale co proboszcz myśli o tem?

— Jest to powtórzenie nauki kościoła o grzechu i raj utraconym, która zresztą spotyka się z greckim mitem o Prometeuszu, próbującym owoców z drzewa poznania i sprowadzającym przez to nieszczęścia na ludzkość.

— Nie, tego już zanadto! Więc i proboszcz stał się wolnomyślicielem! Ne sutor... Jeśliś duchownym, pozostań duchownym, a nie partol mi w moim zawodzie! I nie uważaj się za obowiązane do pochlebstwa względem mnie dla uzyskania lepszych warunków materialnych. — Ale powróćmy do Fryderyka!

«Bieg dziejów toczy się jak lawina; polepsza się gatunek, warunki życia stają się dogodniejsze, lecz ludzie nie ulegają zmianie: zawsze tak samo niewdzięczni, występni i wiarołomni; prawi i nieprawi dążą jednako do piekieł. Nie chcę wywodzić na papierze konsekwencyj z tego doświadczenia; równałoby się to ponownemu krzyżowaniu Chrystusa i oswobodzeniu Barabasza... Wielcy ludzie i małe słabości, a właściwiej — wielkie słabości. My, panie filozofie, nie byliśmy aniołami, lecz Opatrzność uczyniła z nas narzędzia wielkich rzeczy. Czy jednak obojętna jest na to, nad kim rozciąga pieczę? Czy obojętna jest na to, jak żyjemy, byleśmy nieśli wysoko sztandar ducha? Sursum corda!»

— Co proboszcz na to mówi?

— Prawo Boskie nie może być wypełnione, mówi święty Paweł, lecz rozwija w nas poczucie winy, a istnieje dlatego tylko, by pobudzać nas ku dążeniu do łaski.

— W słowach Pawła jest dużo słuszności. Dodałbym do nich jedynie, że w więzieniu ciała wzrasta pragnienie wolności. Kto wyzwoli mnie, biednego człowieka, z tego grzesznego ciała? — Tak, opacie, vanitas vanitatum vanitas! Jesteś młody, lecz nie powinienesz sztydzić ze starego, gdy, zwracając się ku dniom minionym, plwa na wszystkie nikczemności, wśród których upłynęło mu istnienie. Gdybyż raz choć wyrósł na tej ziemi ród, który wiedziałby od początku, co warte jest życie! Może jednak nurzanie się w błocie stanowi nieodzowny warunek naszej kuracji duchowej!...

Gdy mówił tak, na ścieżce ogrodowej ukazał się szczupły czarny mężczyzna, sunący naprzód wężowatemi ruchami.

— A, ot i mój jezuita! — odezwał się Voltaire.

Starzec utrzymywał stosunki z tym jezuitą poczęści dlatego, że papież wyrugował zakon z Rzymu, poczęści ze względu, iż Fryderyk Wielki udzielił mu przytułku, głównie jednak — by mieć z kim dyskutować. Może również pragnął jednocześnie zaznaczyć swój brak uprzedzeń, nie lubił bowiem właściwie tej niesympatycznej postaci.

— Powiedz mi, synu szatana — ozwał się do gościa — co knujesz nowego? Zło czai się w twojej twarzy.

— Przybywam z Genewy — odparł jezuita ze zjadliwym uśmiechem.

— I cóż się tam dzieje?

— Przypatrywałem się, jak kat palił «Emila» Rousseau'a.

— Nie mam nic przeciw temu; byłbym nawet zdania, aby wraz z dziełem rzucono do ognia i tego półgłówka.

— Ależ, panie Voltaire!

— Nie można tolerować obłąkańców! Wszystko ma swoje granice!

— Jakie?

— Określa je zdrowy rozsądek.

— No tak... Byłem dziś również świadkiem spalenia nowego wydania «Candide'a» pana Voltaire'a.

— Wstydźcie się tego! Ależ to stek hultajów ta cała Genewa!

— Hultajstwo protestanckie — za pozwoleniem!

— Nie krępuj się, proszę; żywię dla protestantów nie mniejszą nienawiść, niż dla katolików. Ten okropny Kalwin spalił wszak w Genewie swego przyjaciela Servet'a dlatego tylko, iż Serwet nie wierzył w trójosobowość Boga... Nie krępuj się! I powiem ci, że gdyby Jan Calas z Tuluzy był katolikiem, a syn jego protestantem, tak samo zupełnie zaatakowałbym sędziów, jakkolwiek sam przez się nie nie ważyć. Nic zupełnie — istnieje tylko to, com napisał!

— Wzniesiemy tedy zezasem pomnik dziełom pana Voltaire'a, a nie jemu samemu.

— Uwiecznienie mej postaci jest zbyteczne; postawiłem sam sobie pomnik w stu tomach moich dzieł zbiorowych. A jak wyglądał stary osioł, to już nie znaczy nic zgoła i nie powinno nikogo obchodzić!... Moje słabości znane są wszystkim: kłamałem i kradłem, byłem niewdzięcznikiem; potrosze chłystkiem i potrosze bydlakiem! To jest kał i błoto mego żywota! To przekazuję w spadku jezuitom i mieszcuchom, zbieraczom anegdot, grzebiącym się w dokumentach. Ale ducha mego oddaję Bogu, od którego go otrzymałem. W ludziach zaś pragnąłbym wzbudzić dobrą wolę zrozumienia pana Voltaire'a.

Wstał z krzesła, gdyż słońce zaszło już było za góry.

— Dobranoc, Mont-Blanc! Masz białą, jak ja, głowę i, jak ja, kąpiesz podnóża w zimnej toni!... Idę spocząć teraz, a jutro wyjeżdżam do Paryża, gdzie chcę umrzeć!

Przekład bezim. w «Literaturze i Sztuce» (1910).

Poprawił Alfred Tom.

GUSTAV AF GEIJERSTAM

(1858—1909)

STARA BIBLIJA

Dwaj duchowni — stary i młody — siedzieli w pracowni starszego. Z okien widać było morze, pełne blasków słonecznych, bijące o bezleśne skaliste wybrzeża. Młody duchowny był gościem starszego, przybył prosić o radę i poskarżyć się. Uczynił to, bo bardzo niedawno opuścił uniwersytet, by wejść w życie, zaś rzeczywistość, z którą się stykał, przerażała go tem bardziej, im silniej odczuwał obowiązek zacierania głosu i nakłaniania do poprawy.

Stary i młody usiedli naprzeciw siebie. Mówili o kraju i o ludziach, o ich zwyczajach złych i dobrych. Póki trwała rozmowa, słyszeli wzajemnie głosy swoje i słowa,

które każdy z nich wypowiadał. Ale gdy milkli na chwilę, w uszach ich brzmiał tylko huk morza i szum gwałtownej wichury, wstrząsającej starą plebanją. Aż zdało im się wreszcie, że obadwaj znaleźli się na dworze wśród szalejącej zawieruchy, że starają się huk wzmóc wiarą swą, by jej potęgą zmusić do milczenia moce przyrody. A każdy z nich odczuwał to zupełnie inaczej. Jeden bowiem był już stary i prawie zapomniiał o tem, co mówiły książki. Natomiast rozumiał dobrze głosy i wymowę tych fal, które wzbierały dokoła niego tam na morzu i tu w życiu ludzkim. Uśmiechał się, myśląc o tych czasach, gdy i on porywał się na niemożliwości. — Towarzysz jego zaś był młody, a to, co w książkach wyczylał, taką moc miało nad nim, że i w to nawet wierzyć nie chciał, by przyroda była właśnie taka, jaką swemi własnymi oczyma oglądał. Rozgoryczało go wszystko, a najbardziej ów spokój, z którym stary pastor przyjmował wybuchy jego duchownego gniewu.

Siedzieli teraz w milczeniu, pogrążeni w myślach. Młody starał się odgadnąć, jaką odpowiedź da mu stary, a stary zastanawiał się nad tem, czy mówić dalej, czy też pozostawić życie, by nowemu duchownemu, z trudem i powoli, zrozumiała czyniło swoją naukę. Siedzieli tak z różnem zupełnie uczuciem, wsłuchani w głosy morza. W zatoce ukazała się łódź, śpiesząca do brzegu, zwinięto żagiel i wnet łódź ukryła się za skałą.

— Będziemy mieli gości — powiedział pastor. — Sądząc po łodzi, ktoś zdaleka. Zdaje mi się, że łódź z Norrösend.

Młody powstał, chciał odejść. Ale pastor powstrzymał go skinieniem.

— Sam przecież jesteś duchownym, więc chyba chętnie będziesz obecny.

Zajęli dawne miejsca nawprost siebie, przy dużem czarnem biurku. Wikarjusz poglądał ku skalom, o które biło pociemniałe morze, a pastor milczał, pogrążony w sobie. Myślał o parafjanach swoich, do których przywiązał się prawdziwie, bo ich rozumiał: nie mógł się oprzeć uczuciu, że powinien ich bronić przed wszelką napaścią i szyderstwem. Młody pastor miał bowiem w sposobie sądzenia ludzi właśnie coś takiego, co wywoływało w starym owo uczucie. A obadwaj — i stary, i młody — oczekiwali przybyszów z tem wrażeniem, jakby odwiedziny owe łączyły się bezpośrednio z ich rozmową. Chciwie łowili uchem każdy szmer, jakby taki codzienny fakt — przybycie kogoś z za skał — miał udzielić odpowiedzi na wszystkie wypowiedziane i niewypowiedziane pytania. Westchnienie ulgi wyrwało im się z piersi, gdy usłyszeli szmer nóg w przedpokoju, a potem ciche stukanie do drzwi pracowni.

— Proszę! — powiedział stary pastor.

Za drzwiami wciąż słychać było szelest sukien i szmer przytlumionych głosów, nikt jednak nie wchodził. Wreszcie stary pastor wstał i otworzył drzwi, młody natomiast siedział na swoim krześle i skierował przenikliwe spojrzenie na wchodzących.

Na progu ukazał się najprzód młody mężczyzna. Twarz miał śmiałą, wyrazistą i ogorzałą, z pod szerokich brwi poglądały bystre pogodne oczy, usta były pełne, brodę okrywał krótki jasny zarost. Ukłonił się i stanął tuż przy drzwiach. Na nogach miał tylko pończochy, bo wielkie nieprzemakalne buty zdjął był i ulokował przy schodach.

Wszedłszy do pokoju, rozejrzał się swobodnie, znać w nim przecież było jakby zakłopotanie. Usiłował nawet uśmiechnąć się, jednak uśmiech przepadł gdzieś w kącikach ust, a z oczu znowu patrzyła powaga. Za nim stała kobieta. Twarz jej osłaniała chusteczka, zawiązana na głowie i zachodząca nisko na czoło, cała zaś postać kryła się w wielkiej, długiej chuście, którą kobieta przytrzymała z przodu obiema rękami. Cisnęła się, jak mogła najbliżej, do mężczyzny i wcale nie podnosiła oczu.

Pastor powitał ich podaniem ręki. Poczem siadł na swoim miejscu przy biurku i skinął, by podeszli bliżej.

Nie usłuchali go przecież, zostali przy drzwiach, a kobieta kryła się wciąż za plecami mężczyzny. — I kilka razy musiał pastor powtórzyć pytanie, w jakiej sprawie przybyli, nim wreszcie usłyszał odpowiedź.

— Chodzi o to — powiedział nareszcie mężczyzna — że chcielibyśmy się pobrać.

Pastor otworzył księgę i szukał ich nazwisk.

— Zbliź się, Janie Ersson — powiedział.

Mężczyzna usłuchał.

— I ty także — zwrócił się do kobiety, stojącej wciąż przy drzwiach.

Wówczas poruszyła się i ona. Podchodząc do stołu, zsunęła chustkę z głowy, ukazując twarz młodą o czystych pięknych rysach i głębokich oczach. Skoro jednak poczuła na sobie wzrok obu obcych panów, spuściła oczy i poczerwieniała. Wiedziała przecież, że nie może ukryć swej tajemnicy i że ją postać jej zdradza. Ale i młody duchowny zaczerwienił się gwałtownie. Uczynił ruch nagły i potępiający, jakby ujrzał przed sobą coś odpychającego, i podniósł się z krzesła. Stary pastor spojrzął mu w oczy: «Siedz spokojnie — rzekł — tonem rozkazującym i pełnym powagi — daj mi mówić lub milczeć, jak zechcę». Poczem zwrócił się do mężczyzny, który spoważniał bardzo i zakłopotany poglądał na stojącą przy nim kobietę, jakby chciał jej dopomóc, a nie umiał czy nie śmiał tego uczynić.

— Czy masz dość nato, by się ożenić? — zapytał go pastor.

— Mam dom, łódź i sieci — odpowiedział mężczyzna — a winien jestem bardzo mało.

— Dobrze — rzekł pastor. — Ale słuchaj, zdaje się, żeście powinni byli przyjść wcześniej. Toć teraz chrzciny wypadną wkrótce po ślubie.

Cień uśmiechu rozjaśnił surową twarz mężczyzny. Szybkiem spojrzeniem ogarnął kobietę, otulającą się w swoją chustkę z taką miną, jakby właściwie ani słyszeć, ani rozumieć nie chciała. Poczem wzrok jego szczerzy i poważny zwrócił się ku pastorowi.

— Prawda, trzeba było wcześniej. Ale nie mieliśmy czasu.

— Nie mieliście czasu?

— A tak! Bo to właśnie był czas największego połowu, zaś droga bardzo daleka. — Milczał chwilę, jakby zbierając myśli. — Bo żeby nie to, bylibyśmy napewno wcześniej przyszli — dodał z powagą.

— Czy ona u ciebie mieszka? — zapytał pastor.

— U mnie — odpowiedział Ersson. — Toć trzeba mi było kogoś do pomocy przy sieciach i w domu. Matka, wiecie, nie żyje.

— A przedtem nie pomyśleliście o tem, żeby się pobrać?

— A nie.

Pastor nic już nie mówił. Wypełnił formularz, zawołał służącego swego, jako drugiego świadka, i kazał podpisać się Janowi Erssonowi oraz jego narzeczonej. Młoda kobieta wykaligrafowała starannem pismem pilnej uczennicy imię i nazwisko — Anna Olsdotter — oddała głęboki ukłon pastorowi i chciała odejść. Pastor jednak zatrzymał ją i podał pióro wikarjuszowi, by ten podpisał, jako pierwszy świadek.

— Czy nie mógłby kto inny? — szepnął młody. Głęboki wstręt odbił się na jego wąskiej, gładko wygolonej twarzy.

— Podpisał — rzekł pastor spokojnie.

Wikarjusz podpisał. Skoro jednak odłożył pióro, nie zdołał już dłużej milczeć. Zwracając się do stojącej przed nim pary, wybuchnął:

— A gdyby... gdybyście i teraz nie mieli czasu, cóż wtedy?

— A no, musielibyśmy jeszcze z miesiąc poczekać — odpowiedział mężczyzna. — Ale wtedy Anna jużby pewnie nie chciała mi towarzyszyć tutaj.

— Tak mówicie... — zakrzyknął młody, a głos jego drżał tak, że mu nagle odmówił posłuszeństwa.

— Toć musiałem ją gwałtem namawiać, żeby się ze mną wybrała — ciągnął Ersson dalej, i znów przelotny uśmiech rozjaśnił mu twarz.

— Wstydzila się stanąć tak przed panem pastorem... to zupełnie zrozumiale.

Młody duchowny chwycił się za głowę i chciał jeszcze coś powiedzieć. Ale stary pastor nakazał mu gestem milczenie, odprawił służącego, który już był podpisał, i zwrócił się do narzeczonych:

— Słusznie uczyniłeś, Janie Ersson, zmuszając Annę, by przyszła z tobą. A teraz, w imię Boże, życzę szczęścia wam obojgu! A postarajcie się, żeby mieć po trzech tygodniach czas na ślub.

I stary pastor pożegnał się z nimi, podając rękę naprzód kobiecie, potem mężczyźnie, po ojcowsku poklepał każde po ramieniu, odprowadził oboje do progu i sam

zamknął drzwi za nimi. Poczem stanął przy oknie i patrzył, jak szli, opierając się wicherze, mężczyzna kroczył pierwszy, za nim podążała kobieta, stąpając ciężko w jego ślady. I nie powiedzieli ani słowa do siebie, walcząc wciąż z gwałtownymi porывami wietru.

Gdy już znikli za skałami, stary pastor odwrócił się i spojrział na młodego. Ten siedział jeszcze tak samo, łokciami oparty na stole, ściskając czoło obiema rękami. Nagle podniósł głowę, ręka jego ciężko na stół opadła.

— Jak mogłeś z nimi mówić, tak jak mówileś! — wybuchnął. — Ani słowa o grzechu! Ani słowa o karze za ten grzech, o... — głos uwiązał mu w gardle; zamilkł nagle, zdjęty trwogą, że zapominał się wobec starszego wiekiem.

A stary duchowny stał ciągle przy oknie, pogrążony w zadumie. Pozwolił młodemu uspokoić się. Po chwili wziął fajkę, nałożył ją, zapalił i usiadł na swem krześle przy biurku.

— Grzech! — powiedział. — A tak, grzeszniśmy wszyscy. Ale słuchaj. Znam ja niejednego z tak zwanej «inteligencji», co z zachowaniem wszelkiego decorum posłubia żonę wobec prawa; rok nie minie, a on już za innemi biega, ani się zatroszczy o żonę. Nie uczyni tego człowieka, którego tu widziałeś. Znam też kobiety, co zamaż idą poto, by z założonemi rękami żyć z pracy męża, harującego za dwoje, a raczej za wszystkich, za całą, choćby największą, rodzinę! Nie uczyni tego kobieta, która tu była. Do ostatniej chwili wytrwa w łodzi przy mężu, a gdy urodzi dziecko, nie będzie odpoczywała długo i znów z mężem na morze wyruszy. Takie to życie tych ludzi i takie będzie ono aż do śmierci. Pracować będą przez cały ciąg żywota swego i dzieci nauczać, by pracowały, jak oni. Podstawą zaś, na której życie swe budują, jest wiara, iż rozkosz miłości uświęca dziecko. Nie tykaj onej wiary! bowiem na podstawie tej, zaprawdę, wiele dobrego zbudować można!

Wikarjusz śmiał się. — Powiedział ci to kto? — zapytał szyderczo.

— Nie — odrzekł pastor. — Ludzie ci powiedziec tego nie potrafia. Ale czują to głęboko. Gdybym przybył tu, i ja zrozumieć nie mogłem... Dalo mi to zrozumienie życie. Przemogłem serce moje, by stało się bliskie ich sercu tak, żem każde uderzenie jego rozumiał. Przeto i ty żyj z nimi, i ty przemóż swe serce! A wtedy sądzić nie będziesz. Kto bowiem ciska kamieniem wzgardy na oną podstawę, dźwigającą taką ogromną część życia naszego ludu, ten sądzi nasz lud licho i poniżająco. I nazbyt wiele w nim pychy, by go mógł zrozumieć.

Wikarjusz zmilczał, ale potrząsnął głową; bo zamknął się w deptaku myśli tego, co «kształcił się, studjował» i miał w sobie «pobożność», a zbyt był pyszny, by się uczyć. — A stary pastor poglądał w milczeniu na młodego. Żal mu go było, bo przypominał sobie dobrze, jak i on niegdyś surowy był dla ludzi tam, gdzie potrzebne było pobłażanie, a pobłażliwy — gdzie konieczna była surowość. Wreszcie uśmiech rozjaśnił mu twarz. Odłożył fajkę i stanął przed wielką, zakrywającą całą ścianę policą z książkami. Wyjął jeden z tomów i podał wikarjuszowi. Ten wziął i otworzył zdziwiony. Była to wielka księga, pełna obrazków, okładkę miała wyciskaną złotem, a zamykały ją szerokie brązowe klamry.

— Toż to biblja — powiedział.

— Biblja — potwierdził stary pastor. Proszę, weź ją sobie. A gdy po raz pierwszy będziesz tu dawał ślub dwojgu, którzy do świętego związku dążyli drogą, jakiej ty wymagasz, tedy na pamiątkę od siebie i ode mnie ofiaruj im tę księgę.

Młody duchowny opierał się gorąco; czuł, że dar ten jest zarazem nauką, której przecież przyjąć nie chciał. Ale gospodarz nalegał tak, że wreszcie bibliję wziął musiał. Poczem rozstali się. — Wąską ścieżyną pomiędzy skałami dążył wikarjusz do domu, ciążyła mu wielka biblja, a gwałtowny wicher utrudniał drogę.

Minęły lata. Stary duchowny legł w trumnie, młody objął po nim pastorał. Piętnaście lat miał u siebie bibliję, a nigdy nie mógł ofiarować jej nowożeńcom. Aż wreszcie żenić się miał służący z plebanji, syn rybaka, ze służącą, która od najmłodszych lat była w rodzinie pastora uważana prawie za własne dziecko. Młody zaś ongi pastor już postarzał i żonaty był oddawna, ale bezdzietny. Pastor i żona jego wiedli dziwnie samotne życie wśród licznej parafji — tak bardzo obcy czuli się tam oboje.

Jednakże dla tej młodej pary pastorowa sama urządzała wesele, a pastor ofiarował im po ślubie wspaniałą bibliję ze złocistą okładką i brązowymi kłamrami: bo tych dwoje znał dobrze i on, i żona jego, i wiedzieli, że mogą być ich pewni. Aliści już w trzy miesiące później pastor chrzczył pierwsze dziecko młodej pary. Odtąd nikt już nie wspominał o starej bibliji... Pastora zmogło wrażenie, że stary jego poprzednik snuje się dokoła, jak duch pokutujący... Do końca życia nie odjęto mu nazwy «ten nowy». Tak odróżniano go od poprzednika, zmarłego dawno, dawno, ale żyjącego wciąż w pamięci. «Ten nowy» zszedł do grobu, nie przebywszy owej przepaści, która go od parafjan dzieliła.

Tłum. Marja Markowska.

SELMA LAGERLÖF

(ur. 1858)

KRÓLOWA NA WYSPIE

Już skończyło się lato.

Niebo było szaro-olowiane, a powietrze wilgotne, jak zwykle ku jesieni. Ścieżką, wijącą się wśród olszyny, jechał młody król. Tu i ówdzie zaszeleściły lekko wierzchołki drzew, niektóre, zda się, schylały swe korony, składając hołd królowi. Wszędzie widniały ślady wygasającego życia. Z niebios i z gór padał mrok posępny, zewsząd wydobywała się woń przykra, wilgotna. Na ziemi leżały rozpostarte liście, napół rdzawe, a wpół zwiędłe, a pod nimi gnieździły się pająki i ślimaki. Beznadziejna szarość i mglistość rozlana była dokoła. Król, oglądając się, szepnął sam do siebie: «Zaprawdę, żebraczka muszę jeździć drogą».

Na szczęście po upływie kilkunastu minut młody król wydostał się na drogę, z której już można było ujrzeć piękną wyniosłą górę. U jej podnóża złocono się morze lśniącego piasku, po prawej stronie ciągnął się długi rząd szarawo-zielonawych sosen, a po stronie lewej, gdzie się wznosiły wzgórza, splotła się głośnie woda z licznych strumyków. Nieco wyżej znów stał cały szereg brzoź o białych łodygach i czerwono-brunatnych gałęziach. Bardzo wysoko rosły jodły rozłożyste, które szerokim ramieniem obejmowały górzysty wierzchołek. Król, który miał wzniesione oczy, widział jeno kłębiące się na szczytach gór chmury i lasy ciemne, dumające na pagórach.

Z trudem torował on sobie drogę wśród gęstych drzew, z których kapwały krople na jego głowę, twarz i ręce. «Gdziekolwiek zwrócę swe kroki — biada! — wszędzie spotykam lzy i rozpacz. Kiedy płynąłem po morzu, wznosiła się przede mną gęsta mgła, zakrywająca mi własne ręce. A gdym się nocą na rumaku swoim puścił w świat, księżyc się skrył i czarne chmury były mojem światłem. Gdybym się usiłował przybliżyć do gwiazd, oneby się wnet skryły przede mną. Jeno tęsknota i smutek towarzyszą mi zawsze nieodłącznie».

Zacisnął pięść i podniósł ją wgórę. Walczył z sobą samym... Zatrzymał konia i wsłuchiwał się w martwą ciszę. — «Gdybyż mi przynajmniej jakiś ptak zaświergotał!»

Lecz ptaki uciekły daleko od szarego nieba i od góry, we mgle ukrytej. Jedyny dźwięk wydawały monotennie spadające krople deszczu.

Król, zwiesiwszy nisko głowę, jechał dalej, dalej...

«Daj mi Boże — jał się modlić — oglądać rzeczy, płonące szkarłatnym olśniewającym blaskiem. Niechaj popłyną strugi rubinów i złota. Niech usłyszę słodką pieśń i radosny śmiech».

Rozglądał się dokoła... W zamyśleniu spoglądał na swoje dobra i mienie... Ból tęskny ścisnął mu serce. «Kiedyż tęsknota ma dozna ukojenia?» — szepnął zcicha.

Myśli jego stały się jeszcze posępniejsze, gdy pomyślał o królowej, z którą się dawno już był zaręczył, gdy ona była jeszcze dziecięciem. Od wczesnych już lat wychowywano młodą księżniczkę, jako przyszłą królowę, z obawy zaś, aby tej możnej pani nie porwał ktoś — zaślubił ją wcześniej młody król. Po ślubie królowa przewieziona została do wieży, zbudowanej na wyspie, i tu miała zostać aż do wieku dojrzałego. Teraz właśnie — zgodnie z zawartą umową — król miał już zaprowadzić małżonkę swą do zamku królewskiego.

«Gdybyż mi przynajmniej było dane walczyć o moją żonę, gdybym miał ją wyrwać z zaczarowanego zamku, gdzie na straży stoją potwory i olbrzymy, wówczas bieglbym z radością zdobywać mój skarb. Lecz i tego okrutny los mi odmówił!»

Tak straszny poczuł ból, że szybko się oddalił od ciągnącej za nim w milczeniu świty, aby nikt nie zauważył jego cierpienia.

Sam nie wiedząc o tem, król zjechał w te strony, gdzie na wyspie stała wzniesiona wieża, w której pod opieką dwóch starszych kobiet mieszkała królowa.

Król smutnie patrzył na wieżę, co, niby groźna burza, chmurzyła się na ponurej wyspie, patrzył na loczące się w rzece wody szerniałe, na skaliska urwiste, na pagórki, roślinności pozbawione. Wsluchiwał się w żalosne powiewy, idące z samotni leśnej. Ogarnął go strach... W beznadziejnym smutku, zwiesiwszy głowę, król stał się bardzo blady...

«Żaden kwiatek nie wita mię uśmiechem, żadna zieleń nie wabi mego oka zbolełego — skarżył się cicho. — Ani jednej niema rośliny w tej rozpadlinie chmurnych skał. Ani jednego głosu, co by mi mówił o nadziei i o szczęściu. I pewnie ta, co w warownem znajduje się zamczysku, też jest taka straszna w swej ponurości i piersi ma płaskie, a ręce wyschłe, poźółkłe... A mnie potrzeba strugi jaśniejących perel, potrzeba mi szmaragdów i rubinów... I ciebie, zjawo przecudna...»

Wartownik, ujrzawszy króla, zadał w róg, obwieszczając jego nadejście. Spuszczono wnet most zwodzony i rozwarło wrota.

Król wzдрыgnął się cały... Dech w piersi wstrzymał... Znieruchomiał w bolesnem pochyleniu ciała. Nagle zacisnął ręce konwulsyjnie, a lica jego zapłonęły gniewem. Podniósłszy głowę wysoko, szepnął: «Czyż nie jestem królem? I gdzież ma siła mocarza!»

Wnet wskoczył na rumaka i popędził w cwał. Jechał coraz szybciej, jakby go gonił piekielny strach. Wymachiwał rękoma, jakby odrzucał więzy... I nie zatrzymał się król nigdzie, tylko pędził w dal pustą...

A w groźnej wieży, wśród chmurnych murów, rozkwitała cicho królowa, jak przepyszny kwiat. I głos jej brzmiał, niby pieśń słowicza. Teraz, gdy czekała na przybycie małżonka, gładkie jej lica zaróżowiły się pięknie, a w jej oczach, pełnych jakiejś gwiazdnej światłości, widniała tęsknica bolesna...

Tłum. Emilja Rabicka.

Z «CESARZA PORTUGALJI»

E g z a m i n

... Skończył się egzamin starszych, i nauczyciel wziął się do małaństw, które za ledwo posiadają sztukę czytania. Zaczęło od stworzenia świata. Przedewszystkiem spytano je, kto świat stworzył, i okazało się, że wiedzą to doskonale. Ale na nieszczęście zdarzyło się, że nauczyciel spytał, czy któreś nie zna jeszcze innego miana, jakim oznaczamy Boga. Dzieci zamilkły odrazu. Twarzyczki ich poczerwieniały, czoła pokryły się faldami, widać było wysilek myśli tych małych główek, ale żadne nie mogło znaleźć odpowiedzi na tak niemądre pytanie...

«Jest pewna modlitwa, którą odmawiamy codziennie» — pomagał nauczyciel — «jakże w niej zwiemy Boga?»

Klara Gulla doznała olśnienia. Zrozumiała, że nauczyciel chce, by powiedziano, iż Boga zwiemy także ojcem, i podniosła w górę palce.

«Powiedz tedy, Klarcu, jak zwiemy jeszcze Boga» — rzekł nauczyciel. — Zaczzerwieniła się mocno, wstała w lawce, a spleciony sztywno warkoczyk wyprostował się z tyłu głowy, niby ogonek.

«Boga nazywamy także Janem!» — powiedziała donośnie i wyraźnie.

Śmiech rozległ się w całej szkole. Wysocy dostojnicy, radni szkolni i rodzice uśmiechnęli się także, a nauczyciel miał minę wzruszoną. — Klara Gulla sponsowała, a lzy napłynęły jej do oczu. Ale nauczyciel stuknął mocno w podłogę kijem, służącym do pokazywania na mapie, i zawołał: «Cicho!». A potem wyrzekł kilka słów wyjaśnienia:

«Klara Gulla chciała powiedzieć: ojcem! Powiedziała zamiast tego: Janem, bo ojciec jej ma na imię Jan. Ale nie powinniśmy się tak bardzo dziwować odpowiedzi małej dziewczynki, bo doprawdy nie wiem, czy jest w całej szkole dziecko, któreby miało tak dobrego ojca, jak ona. Widziałem nieraz, jak czekał na nią przed szkołą w zawiei i deszczu i jak ją niósł do szkoły na rękę, kiedy śnieg zawiął wszystkie ścieżki. Dlatego to nic dziwnego, że mówi: Jan, gdy chce wyrazić to, co jest najlepsze i najwyższe z pośród wszystkiego, co zna.

Pogładził dziewczynkę czule po włosach, a wszyscy uśmiechali się życzliwie i byli mocno wzruszeni.

Klara Gulla siedziała na swoim miejscu, nie wiedząc, co począć, ale Jan ze Skrołyki czuł się szczęśliwy, jak król, bo stało mu się jasne, że mała dziewczynka w pierwszej ławce na prawo -- to jego własne, naprawdę własne dziecko.

Storsnipa

Jan ze Skrołyki szedł tą samą drożyną leśną, którą przed kilku zaledwie godzinami wracał z kościoła wesoly i szczęśliwy wraz z Katarzyną i Klarą.

Długo się naradzał z żoną i nakoniec postanowili zaczekać z wystaniem córki do miasta oraz nie czynić żadnych innych kroków. Przedewszystkiem musiał się Jan udać do posła parlamentarnego Karola Karlsona w Storwiku i spytać go, czy Lars Gunnarson jest w prawie zabrać im grunt i dom. W całym obwodzie swartsjoeńskim nikt tak dobrze nie znał się na prawie i różnych rozporządzeniach, jak poseł do parlamentu ze Storwiku. Kto był o tyle mądry, że zasięgnął jego porady w sprawie podziału, spadku, sprzedaży, inwentaryzacji, aukcji czy spisania testamentu, mógł być pewny, że wszystko będzie załatwione wedle prawa i sprawiedliwie i że nie będzie później poła do żadnych procesów i zatargów. Ale poseł był to człowiek surowy, nieublagany, opryskliwy i z wyglądu onieśmielający. Głos jego był tak twardy, że Jan drżał na samą myśl, iż ma stanąć przed nim...

Jan ruszył z domu bardzo pośpiesznie, to też nie miał czasu zastanowić się nad tem, że ma stanąć do oczu przerażliwemu posłowi. Teraz dopiero, idąc przez lasy askadalarneńskie ku szczytom gór, doznawał takiego strachu, że drżał i wyrzucał sobie głupotę swoją. Powinien był zabrać Klarę Gullę.

Wychodząc z domu, nie widział nigdzie dziewczyny. Pewnie pobiegła gdzieś do lasu, siadła na samotnem miejscu i płacze, by ulżyć smutkowi, jaki ją przejmuje. Zawsze kryła się w podobnych chwilach, nie chcąc nikogo widzieć na oczy.

Kiedy miał skręcić w wysokopienny bór, posłyszał od prawej strony, wysoko ponad sobą, jakiś śpiew i pohukiwanie radosne. Przystanął i nadstawił ucha. Na górze śpiewała jakaś kobieta. Ale dziwnie! Głos ten wydał mu się znany... dobrze znany... A przecież nie mogło to być, w żaden sposób!

Postanowił, zanim pójdzie dalej, dowiedzieć się, co to znaczy. Śpiew dolatywał wyraźny, dźwięczny, radosny, ale drzewa nie pozwalały zobaczyć śpiewaczki. Jan zбочył z drogi i zaczął się przedzierać przez gęstwą poszycia lasu, by jej przeciąć drogę. Znajdowała się dalej, niż mniemał, przeto śpieszył naprzód raźno coraz to dalej, mając ją ciągle przed sobą. Szła ciągle w górę i czasem wydawało się Janowi, że znajduje się wprost ponad nim. Po pewnym czasie nie miał żadnej wątpliwości — śpiewaczka szła prosto na szczyt Storsnipy. Szła niemal prostopadłą percią po skałach, najtrudniejszą ze wszystkich dróg, ocienioną gęsto brzożami i wijącą się zygzakiem. Dlatego nie mógł jej dojrzeć. Ale, mimo bardzo trudnej drogi, szła szybko, jakby niesiona na skrzydłach, i przez cały czas nie przestawała śpiewać. Jan chciał jej znowu zajść ukosem, ale przez zbytne rozmach zbił się ze ścieżki, wszedł w gęstwinę i został znowu w tyle. Poza wszystkiem, w miarę jak słuchał śpiewu, kładł mu się coraz to straszniejszy ciężar na piersi, tak że oddychał z trudnością i często musiał przystawać.

Kroczył teraz całkiem powoli, włókł się ledwo noga za nogą. Nielatwa to rzecz rozpoznać głos, a w lesie sprawa jest jeszcze o wiele trudniejsza, gdyż wszystko niemal szemrze tam, gwarzy i śpiewa do wtóru. — Zaszedłszy już tak daleko, powiedział

sobie, że musi zobaczyć tę dziewczynę, która w wielkim rozradowaniu płynie niejako po tamtem stromem zboczu góry — gdyż inaczej wątpliwości i pytania trapiłyby go do samego końca życia. Wiedział też na pewno, że się przekonać musi, gdy dojdzie do szczytu, ten bowiem był zupełnie lisy, pusty i nie nie mogło mu tam zasłonić widoku. Dawniej szczyt Storsnipy był porośły gęstym lasem, ale przed dwudziestu kilku laty szalał tam straszliwy ogień, i od tego czasu świecił sam wierzch góry szeroką lysiną, widną zdaleka. Dotarły tam wrzosy, krzaki borówczane i jałowce, pokrywając zwolna skały, ale dotąd nie stało ani jedno wyższe drzewo, mogące kryć widok. Od pożaru lasu otworzyła się stamtąd przepiękna panorama. Widać było wszystkie rozłoki, położystą dolinę z jeziorem pośrodku i strome góry, stojące wokół na straży. Młodzież askadalarneńska, dostawszy się z ciasnej doliny na ten szczyt, nie mogła się mimowoli oprzeć przypomnieniu owej góry, z której wierzchołka kusiciel ukazał Chrystusowi Panu cuda świata, by go niemi oczarować.

Wyszedłszy z lasu na wolną przestrzeń, zobaczył Jan tuż przed sobą śpiewaczkę. Na najwyższej grani skalnej, tam, skąd roztaczał się najpiękniejszy widok, zbudowano z kamieni rodzaj estrady — a na ostatnim jej bloku stała Klara Fina Gulleborga w swej czerwonej sukience. Jasno odcinała się jej sylwetka od poblądnętego firmamentu, a gdyby ktoś spojrział z rozłok i lasów wgórę, musiałby ją niewątpliwie zobaczyć.

Patrzyła na krajobraz, ścielący się milami wokół. Widziała nad brzegiem jeziora białe kościoły na wzgórzach, huty o wysokich kominach, dworce pańskie, zapadłe w ogrody i parki, dworki chłopskie, zagrody i obejścia wzdłuż lasów, długie pasma łąnów i pól uprawnych, wijące się drogi i znowu lasy bez końca i kresu.

Zrazu śpiewała jeszcze, potem umilkła i zatopiła się zupełnie w kontemplacji szerokiego świata, leżącego przed nią, niby otwarty atlas.

Nakoniec wyciągnęła oba ramiona, i zdawało się, że chce wszystko to, co było wokół, objąć uściskiem, że chce przytulić do piersi cały ten wielki, potężny, uroczy świat, z którego wyłączona była do tej pory.

Późną dopiero nocą wrócił Jan do domu, a gdy się tu znalazł, nie mógł sobie jakoś nie dobrze przypomnieć. Twierdził, że był u Karola Karlsona i że z nim rozmawiał, ale nie pamiętał ani słowa z tego, co mu poseł powiedział.

«Niema celu czynić żadnych kroków!» — powtarzał raz po raz. I to była jedyna wiadomość, jaką Katarzyna zdołała zeń wydobyć.

Stał pochylony, i śmiertelne znużenie malowało się na jego twarzy, a kaftan nosił ślady zetknięcia z mchem i ziemią.

Katarzyna spytała, czy upadł i potłukł się.

Odpowiedział, że nie, tylko położył się na chwilę na ziemi, by spocząć.

Spytała, czy się czuje chory?

«Nie, nie» — powiedział. — «Tylko zdaje mi się, że coś przestało iść... coś stanęło... i już nie tętni!»

Ale nie chciał powiedzieć, co stanęło w chwili, gdy się przekonał, że córka jego chce iść w świat szeroki dla ratowania ojcowizny — nie z miłości do rodziców, ale dlatego, że tęskni do onego wielkiego, szerokiego świata.

Thum. Franciszek Mirandola.

VERNER VON HEIDENSTAM

(ur. 1859)

Z «KAROLIŃCZYKÓW»

Gunnela klucznica

W jednej ze sklepionych izb warownej Rygi ośmdziesięcioletnia Gunnela, klucznica, przędła na kołowrotku. Jej długie żylaste ręce nie ustawały ani na chwilę w pracy, chuda zapadła pierś podnosiła się i opadała z regularnością zegarowego wahadła, a z pod chustki, wkoła na głowie zawiązanej, spadały na czoło kosmyki rzadkich siwych włosów. Nieopodal niej nieduży chłopak, trębacz pułkowy, wyciągnięty na ceglanej podłodze, wygrzewał się przed kominem.

«Babcu — rzekł — czemu nigdy nie zaśpiewasz przy kołowrotku? Ciągłe tylko zrzędzisz i gniewasz się».

Spoglądała na niego przez chwilę swoim zmęczonym, złośliwie-zimnym wzrokiem.

«Śpiewać? Może o twojej matce, porwanej przez Moskali? Może o twoim ojcu, którego oni powiesili w kominie browaru? Przeklinam noc, w której się urodziłam, przeklinam siebie i każdego napotykanego człowieka. Wymień mi choć jednego, któryby nie był lotrem».

«Jeżeli zaśpiewasz, babcu, będzie ci weselej, a ja takbym chciał widzieć cię dziś wesolą».

«Każdy, kto żartuje i śmieje się, jest tylko mistrzem w sztuce udawania. Wszędzie tylko nędzola i bezwstyd, i za nasze to grzechy, za naszą podłość Sasi oblegają teraz miasto. Słyszysz huk dział? Niech sobie strzelają do krośset tysięcy! A ty czemu nie jesteś na wałach, jak zwykle, tylko wylegujesz się tu?»

«Babcu, czy nie powiesz mi jednego dobrego słowa, zanim pójdę?»

«Dałabym ja ci, gdybym nie była tak niedołężna, że nie mogę podnieść głowy ku niebu! Chcesz może, żebym ci wróżyła? Niedarmo zowią mnie Sybillą! Powiem ci więc, że ten ukośny fald nad brwiami twojemi oznacza wczesną śmierć. Czytałam w dalekiej przyszłości, lecz im dalej sięgam wzrokiem, tem więcej widzę złości i lajdactwa. Tyś gorszy ode mnie, ja gorsza od mojej matki, wszystko, co się rodzi, jest gorsze od tego, co było».

Chłopak podniósł się z podłogi i poprawił na kominie głownie.

«Powiem ci, babcu, dlaczego przesiedziałem dziś u ciebie tak długo i czemu prosiłem cię o jedno serdeczne słowo. Stary komendant wydał rozkaz, aby wszystkie kobiety, stare i młode, zdrowe i zgrzybiałe, w ciągu dwudziestu czterech godzin wyniosły się z miasta, by starczyło żywności dla mężczyzn. Opornym grozi kara śmierci».

Stara zaśmiała się, a kołowrotek zawarczał w jeszcze szybszym tempie.

«Ha! ha! Spodziewałam się tego, ja, co tak długo miałam na pieczy pańską spiżarnię i pilnie strzegłam jego dobra. A ty, Jasiu! Żal ci, że teraz nie będziesz miał przyrządzonej strawy i posłanego tapczanu? Naturalnie, jakież inne uczucie może żywić dziecko? Błogosławiony niech będzie Bóg, który nareszcie zaczyna nas wszystkich smagać biczem swego gniewu!»

Jaś złapał się za kędzierzawą jasną głowę.

«Babcu, babcu!»

«Ruszał, powiadam ci, i daj mi w spokoju prząść, aż wyjdę stąd sama i raz zakończę z tem życiem».

Chłopak chciał rzucić się ku niej, lecz zawrócił i wyszedł z izby. — Kołowrotek wciąż warczał, aż dopaliło się na kominie. Nazajutrz rano, kiedy Jaś-trębacz powrócił, izba była pusta.

Obłężenie było długie i uporczywe. Wśród śnieżycy zimowego dnia po odprawionem nabożeństwie wyruszyły wszystkie kobiety z miasta. Slabe i chore umieszczono na wozach. W Rydze pozostali tylko mężczyźni, którzy nie mogli dopomóc w niczem nieszczęśliwym kobietom, skradającym się czasami pod okopy. Im samym brakowało chleba. W stajniach wygłodniałe konie rwały zębami żłoby i wygryzały dziury w belkach.

A jednak Jaś-trębacz, powracając wieczorami do kazamaty, która jemu i jego babce służyła za mieszkanie, zastał zawsze posłany tapczan, a obok na stołku miseczkę nędznej strawy. Nie mówił nikomu o tej niewidzialnej opiece, która przejmowała go zabobonnym strachem. Był przekonany, że babka zginęła w zaspach śnieżnych, a teraz pokutowała za swą dawniejszą nieugiętość i, drżąc z przerażenia, wołał niejedną noc przepędzić o chłodzie i głodzie na wałach, niż w tej izbie, nawiedzanej przez pokutującego ducha. Wkrótce atoli, pokrzepiony modlitwą, przyzwyczaił się do niewytłumaczonego zjawiska, aż wkońcu dziwił się, jeżeli czasem tapczan był nieposłany, a na stołku brakowało miski. Wtenczas siadał do kołowrotka i puszczał powoli kółko w ruch, wsłuchując się w dobrze znany warkot, który słyszał codziennie od swego przyjscia na świat.

Pewnego poranku komendant twierdzy, sławny siedemdziesięcioletni Erik Dahlberg, usłyszał silną kanonadę. Zły i zniecierpliwiony podniósł się z za stołu, po-

krytego planami i woskowemi modelami różnych budowli. Na ścianach komnaty wisiały przepyszne miedzioryty pomników Rzymu — pamiątki młodego wieku, jasne wspomnienia wycieczek w krainę piękna. Dziś jednak pogodną niegdyś twarz sędziwego wodza wykrzywiły ciężkie doświadczenia życiowe. Wokoło cienkich, zaciśniętych, prawie białych ust osiadł rys nieubłaganej surowości. Poprawił sobie na głowie wielką perukę i drżącymi palcami przygładził wąsy, a wyszedłszy na schody, uderzał mocno laską o podłogę i wdychał:

«Ach, my Szwedzi, krewni królów Wazów, którzy na swoje stare lata umieli tylko kłąć i oskarżać innych, a wkońcu lękali się ciemności we własnych komnatkach — nam w duszę rzucono czarne ziarno, z którego po latach wyrasta szeroko rozgałęzione drzewo, pełne gorzkich jak żółt orzeszków galasowych!»

Im dalej szedł, tem stawał się surowszy i bardziej rozgoryczony, a gdy wkońcu był już na wałach twierdzy, nie przemówił do nikogo ani słowa.

Kilka bataljonów z rozwiniętymi chorągwiami stało tu w szyku bojowym, ale tymczasem odgłos strzałów ucichł, a w bramie ukazały się pomęczone, obryzgane krwią oddziały, które przed chwilą odparły nieprzyjaciela. Na samym ostanku, dobywając resztek sił, włókł się małego wzrostu starzec, który, pomimo rany w piersi od pałasza, dźwigał na ręku ciało zabitego chłopca.

Erik Dahlberg rzucił na niego okiem. Czy poległy nie jest czasami trębaczem, chłopcem z twierdzy? Poznał go po kędzierzawej jasnej głowie.

Kiedy pod sklepieniem bramy śmiertelnie znużony starzec opadł na kamienną ławę, nie wypuszczając z rąk trupa, jeden z żołnierzy, chcąc opatrzyć ranę, pochylił się nad nim i rozerwał na piersiach skrwawioną koszulę.

«Co!» — zawołał, cofając się. — «To kobieta!»

Na to nadbiegli inni, przyglądając się twarzy konającej. Głowa jej opadła nabok, skórzana czapka zsunęła się, a z pod niej ukazały się kosmyki białych włosów.

«To Gunnela, klucznicą!»

Oddychała ciężko, starając się otworzyć gasnące już oczy.

«Nie chciałam zostawić malca samego na tym niegodziwym świecie; ponieważ jednak w męskim przebraniu razem z innymi dniami i nocą pełniłam służbę na wałach, sądziłam, że mam prawo do chleba, przeznaczonego dla mężczyzn».

Żołnierze i oficerowie spoglądali na Dahlberga, którego rozkazu nie usłuchała kobieta. Stał milczący i niewzruszony, tylko laska drżała mu w ręku, kiedy uderzał nią w bruk.

Nareszcie obrócił się do wyciągniętych w linję bataljonów i cienkie jego usta poruszyły się.

«Pochylić sztandary!» — zakomenderował zcicha.

Tłum. F. Szukiewicz.

U KRESU DROGI

Dopiero kiedy w trudzie wdrzesz się na szczyty
I o zmroku świat ujrzysz, dotąd w mgły spowity,
Osiągniesz wielkich mędrców wiedzę upragnioną.
Tam zatrzymaj swe kroki i rzuć okiem w stronę,
Gdzie kres długiej twej drogi woddali się znaczyl
Wszystko jasne ci będzie, o, królu-tulaczu,
I młodości swej ujrzysz raz jeszcze ogrody,
Tak słoneczne, jak rośnym rankiem, gdyś był młody!

ZA TYSIĄC LAT

Drganie wielkich przestrzeni. Widzę w mem marzeniu
Ogród. Światła migocą w drzew wysokich cieniu.
Kim byłem? I dlaczego lkałem tak boleśnie?
Wszystko już zapomniane. Razem z pieśnią burzy
Kłębią się światy, gasną, znikają jak we śnie...

MRUGANIE GWIAZD

Czekaj. Oto zaślubin godzina już bliska,
 Ponad nami pył gwiezdny, mrugając, rozbłyska,
 I zbierać można z nieba czary kryształowej
 Te gwiazdy, by kochanków postroić w nie głowy.
 Czas spoczął. I pod jego chronią się opiekę
 Ci, co przyszli lub idą w przestrzenie dalekie. —
 Dzieci Nocy! Wnel Życie otworzy nam wrota,
 A wgórze gwiazd wciąż czuwa nieskończoność złota!

Tłum. Zuzanna Rabska.

ERIK AXEL KARLFELDT

(1864—1931)

Z «PIEŚNI O PUSZCZY I MIŁOŚCI»

Gdy czasem w wierszach moich zadrży burzy echo,
 Kiedy strumień zaszemrze, który z gór się toczy,
 Gdy dzwonią skowronki, krążąc ponad strzechą,
 A z wiosną bujna łąka swą zielenią roztoczy,
 I drzewa westchną w lesie, gdzie czają się cienie —
 To wszystko wasze pieśni od wieków przenika
 I płynie, z pokolenia dążąc w pokolenie,
 Z zgrzytem siekier, z saniami, za plugiem rolnika...

GŁOSEM JESTEM ŚPIEWAKA

Głosem jestem śpiewaka wśród pustych przestworzy,
 Gdzie ginie każde echo i nikt mnie nie słyszy,
 Błędnym ogniem nad wodą, pośród leśnej ciszy,
 Ogniem, zgaszonym w mroku, gdzie ujrzał świat Boży.
 Jestem jak liść jesieni, zeschnięty i blady,
 Życiem mojem miotają wichry szalejące.
 Czy mam spocząć na szczytach, czy w dolach na łące,
 Nie dbam o to. Nic nie wiem. Niema na to rady!

OCZY TWE TO PŁOMIENIE

Oczy twe to płomienie — tak jak żywica płonę,
 Odwróć się, nim jak węgle zapalę się czerwone;
 Jestem skrzypcami — wszystkie melodje w sobie mieszczę,
 Możesz grać mi rozkazać, co tylko sama zechcesz.

Odwróć się, zwróć się do mnie! Niech stygnę, mrę wśród płomieni,
 Tęsknię, pragnę — mieszkając w wiosny jam i jesieni,
 Struny me naciągnięte — ostatnia pieśń niech wzłata
 I wszystkie mej miłości szalone śpiewa lata!

Zwróć się do mnie, ach, odwróć! W jesienną płońmy ciszę,
 Chorągiew z krwi i złota szal burzy niech kołysze,
 Aż wróci spokój — wtedy ujrzę, jak nikną w cieniu
 Kroki twe, ty ostatni młodości mej promieniu!

Tłum. Zuzanna Rabska.